

KŁAMCA 2,5: MACHINOMACHIA

OLIMPIA, GRECJA

ROK 426

Przystanął przy samej krawędzi, tak że czubki jego sandałów znalazły się nad przepaścią. Spojrzał w dół, na rozciągającą się przed nim dolinę, miasteczko i wielokrotnie od niego większy kompleks budynków świątyni rozświetlonej teraz jak to zapewne miało miejsce za czasów jej świetności. Dziś jednak nie było tam kapłanów ani wiernych zalegających na schodach z koszami pełnymi darów. Obecnie do środka wstęp mieli tylko żołnierze bizantyjskiego imperium.

Mężczyzna odgarnął włosy z twarzy, przyczesał dłonią zmierzwioną brodę i wciągnął w płuca rześkie powietrze przesycone ledwie wyczuwalną wonią dojrzałych oliwek z gaju za jego plecami.

Wreszcie rozłożył ręce, uniósł głowę i wyszeptał wprost do nieba:

– Ojcze, jeśli możliwe, oddał ode mnie ten kielich, ale nie moja, lecz twoja wola niech się stanie.

Za jego plecami niemal natychmiast rozległo się ciche parsknięcie.

– Naprawdę myślisz, że w razie czego uda ci się na niego zrzucić winę, Herostratesie?

Stojący na krawędzi mężczyzna pokręcił głową, zrezygnowany. To nie była ani oczekiwana odpowiedź, ani pytana osoba.

– „Marku Mateuszu”, mówiłem ci już – odparł, nie odwracając się. – I nie boję się pogańskich bóstw, bo wiem, że myśl o nich nie pochodzi od Boga. A zatem...

– Zatem możesz przestać się usprawiedliwiać. Złap trochę snu. Albo kilka oliwek, żeby twoje burczenie w brzuchu nie pobudziło strażników. Zresztą, co ja ci mówię. Masz na imię Herostrates, więc powinienes...

– Marek Mateusz.

– ... więc powinienes znać się na świątynnej robocie, czyż nie? Jak twój słynny przodek.

– On nie... – Mężczyzna stojący nad krawędzią raz jeszcze przejechał ręką po brodatej twarzy, aż wreszcie westchnął z rezygnacją. Odwrócił się i spojrzał na kompana.

Byli do siebie podobni. Obaj atletycznej postury, spokojnie mogliby pozować najlepszym rzeźbiarzom lub, w latach świetności tego miejsca, uczestniczyć w Olimpiadach.

W podobnym wieku, niemal identycznego wzrostu, brodaci, nawet nosy mieli przetrącone w bójkach na tę samą stronę. Różniła ich jedynie długość włosów. Marek Mateusz nosił się bowiem na podobieństwo Chrystusa, jakim przedstawiały go liczne przekazy, natomiast Krassos – jego kompan – był ogolony niemal do gołej skóry; ostała się ledwie cienka, czarna szczecina niczym warstwa sadzy.

Jak to często bywa w takich przypadkach, za podobieństwem fizycznym nie szła w ślad zgodność charakterów i fakt, że obaj wytrzymali ze sobą już tyle czasu, można było przypisać wyłącznie boskiej opatrności. O ile oczywiście ktoś wierzył w Boga czy Bogów; ta kwestia też ich bowiem dzieliła.

Marek Mateusz usiadł obok Krassosa i oparł się plecami o wielki kamień.

– Nie powinienes jeść teraz tylu oliwek – stwierdził. – Jak się napchasz, będziesz ociężały, a poza tym oliwki powodują gazy.

W odpowiedzi Krassos podrzucił kolejną zieloną kuleczkę i odgiął głowę, rozdziawiając usta. Zręcznie złapał owoc, rozgryzł go przełknął i powiedział:

– Więc się pomódl, bym puszczając je, skierował się tyłkiem w stronę straży. Może to kupi nam chwilę lub więcej na ucieczkę.

Zachichotał przy tym, ale zaraz umilkł, gdy spostrzegł, że Markowi Mateuszowi daleko do wesołości. Odwrócił się w jego stronę, położył mu rękę na ramieniu, drugą łapiąc go za podbródek. Spojrzał mu prosto w oczy:

– Jedna noc, Herostratesie – powiedział, uśmiechając się czule. – Jedna noc, jedna akcja, a potem znajdziemy miejsce, gdzie spędzimy resztę życia w spokoju. Świętym spokoju, bo to jedyny święty, w jakiego wierzę. Tak jak jedynym bogiem, którego uznaję, jest...

Przerwał i pochylił się do przodu, wpijając się w usta Marka Mateusza niczym w soczysty owoc. Jego oddech pachniał oliwą, serce tłukło się w rozszalałej piersi. Rękę spoczywającą na ramieniu przeniósł na kark kochanka, wplótł we włosy, szarpnął, odchylając mu głowę do tyłu, a potem językiem powiodł po brodzie, szyi, aż do linii obojczyka.

Marek Mateusz przez chwilę poddawał się jego pieszczotom, gdy jednak poczuł rękę Krassosa na swoim kroczu, otworzył oczy i odepchnął go od siebie.

– Nie teraz. Powinniśmy odpocząć.

Krassos sapnął zniecierpliwiony.

– A co ja właśnie proponowałem?!

– Tak naprawdę odpocząć.

Marek Mateusz odsunął się od skały i usypał z ziemi coś na kształt poduszki. Przesunął się kawałek i położył na plecach, kładąc głowę na zaplecionych dłoniach na tym niewielkim kopczyku.

Krassos po chwili ociągania zrobił to samo, w pewnym oddaleniu, by nie kusić ani losu, ani nabrzmiałego ambasadora swej grzesznej natury.

Przez chwilę leżeli w milczeniu. Wiatr, chłodny i suchy, ale z wciąż wyczuwalną nutą słonej morskiej bryzy, kontynuował na swój łagodny sposób gwałtownie przerwane pieszczoty – sprawiał, że sen stawał się niemożliwością. W końcu Krassos nie wytrzymał. Usiadł i ponownie sięgnął po leżące nieopodal oliwki.

– Wciąż jeszcze nie opowiedziałem ci najbardziej niezwyklej historii posągu, jaką zdarzyło mi się słyszeć – powiedział. – Pamiętasz? Ten żebrak, który zobaczył, jak uważnie przysglądałam się planom świątyni, a potem...

– Potem mówił o powstaniu? – upewnił się Marek Mateusz.

– Tak – uśmiechnął się Krassos. – I nie. To znaczy, o niego właśnie chodzi, ale nie, on nie mówił o powstaniu.

Wstał i podobnie jak wcześniej jego ukochany podszedł do krawędzi. Spojrzał na otoczony murem święty gaj Altis, na stadion, na Leonidajon, gdzie niegdyś spali najzacniejsi z przybyłych do Olimpii gości. Nieco dalej wznosiła się, wyglądająca teraz na mikrą i opuszczoną, świątynia Hery oraz znakomicie rozświetlony Filipejon. Wszystkie te budynki, zarówno widoczne ze wzgórza, jak i zakryte przed oczami obserwatorów, świątynie i budowle użytkowe, w tym pracownia legendarnego Fidiasza, choć imponujące, nie mogły się równać z gmachem, wokół którego zostały zbudowane – z majestatyczną, potężną świątynią Zeusa Olimpijskiego.

To właśnie do niej zmierzali dziś w nocy. Spojrzeć w oczy Ojca Bogów i, niczym Prometeusz, wydrzeć mu jego skarby.

Krassos westchnął i odwrócił się.

– Tamtego dnia ów żebrak powiedział: „Mam nadzieję, że powstanie” – wyjaśnił. – Miał na myśli Zeusa. A dokładniej jego posąg. Odszedłeś wtedy od nas, a on wyjaśnił. I niech mnie twój Jezus zepchnie do piekła...

– Krassosie!

– ... jeśli to nie była najdziwniejsza historia, jaką słyszałem.

To rzekłszy, usiadł na ziemi przy samej krawędzi, tak że za plecami miał tylko otwartą przestrzeń. Zaczął opowieść:

– Wiele było bitew, jakie stoczyli bogowie z gigantami i tytanami, ale choć z każdej Olimpijczycy wyszli zwycięsko, kolejne nieodmiennie napawały ich strachem. Żaden z tryumfów nie przyszedł im bowiem łatwo, w każdym swe palce maczał przypadek. Dziwny, niezrozumiały nawet dla Parek zbieg i splot okoliczności, który w ostatniej chwili przechylał szalę na rzecz Zeusa i jego Dworu. A ponieważ olbrzymi giganci i równie wielcy tytani nie byli głupi, szczęście natomiast jest przewrotne jak los, było dla wszystkich oczywiste, że nadejdzie kiedyś dzień, gdy kute przez Hefajstosa pioruny nie wystarczą, miecz Aresa pęknie na twardym hełmie, a włócznia Ateny czy strzała Artemidy nie sięgną celu. Pewnego więc dnia zafrasowany Zeus zawezwał do siebie boskiego kowala i odezwał się do niego takimi, pełnymi troski słowami:

– Możesz mi powiedzieć, na kudłatą fujarę Pana trzymam cię wciąż za bezpiecznymi murami Olimpu, ty bezwartościowa bryło sadzy?!!

Stojący u podnóża tronu Hefajstos przez chwilę wpatrywał się z twarzą bez wyrazu w boskiego ojca, potem powiódł wzrokiem po sali, drapiąc się przy tym czarną ręką po jeszcze czarniejszym nagim brzuchu. Wreszcie strzyknął białuteńką śliną pod nogi i otarł usta przedramieniem.

– Brama – mruknął.

Zeus aż się zatrząsł. Po złotej brodzie przemknęły mu srebrne błyskawice, błękitne oczy w jednej chwili stały się czarne.

– Jaka znowu brama?! – wrzasnął.

– Główna. – Hefajstos wzruszył ramionami. – Zrobiłem ją i tylko ja potrafię ją otworzyć. Dlatego mnie nie wyrzucasz.

Jeszcze raz rozejrzał się po ogromnej sali i z zadowoleniem stwierdził, że większość wyposażenia najważniejszego pomieszczenia na Olimpie – stoły, sofy, krzesła, system połączonych ze sobą oliwnych lamp, ramy okien – pochodzi z jego pracowni. Mimo że przedmioty nosiły znamiona gniewu boskiego ojca, to jeszcze mu nie uległy. Boski kowal dawno już sobie postanowił, że nie będzie w tej kwestii słabszy od swych tworów.

Ponownie strzyknął śliną, zadarł głowę i spojrzał hardo na ojca.

– Nigdy w życiu nie okazałeś mi szacunku, Zeusie, choć zrobiłem dla ciebie więcej niż inne twoje dzieci – powiedział. – Ale nie zależało mi na twoim uznaniu, więc milczałem. Ty jednak powinienes...

– Jak śmiesz mówić mi, co powinienem, koślawy wybryku?!

Zeus zerwał się z tronu i odruchowo sięgnął prawą ręką do kosza, gdzie zwykle leżały gotowe do rzucenia gromy. Tym razem jednak dłoń Gromowładnego ścisnęła jedynie powietrze. Kosz był pusty.

Widząc to, Hefajstos po raz trzeci strzyknął śliną i spokojnie dokończył rozpoczęte zdanie:

– ... powinienes pamiętać, kto wykuwa twoje gromy.

To powiedziawszy, odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę ogromnych, dwuskrzydłowych wrót. Zatrzymał się już z ręką na okrągłym uchwycie i raz jeszcze spojrzał przez ramię na Zeusa.

– Gdyby się okazało, że oderwałeś mnie od pracy nie po to, by złać, a by zapytać o postępy, to wiedz, że wraz z Fidiaszem kończymy już naszą kolejną zabawkę. Wygląda, jak sobie zażyczyłeś, i będzie działała, jak należy. Dobrej nocy, ojcze.

Stał tak jeszcze chwilę, wyraźnie licząc na odpowiedź, a gdy się jej nie doczekał, szarpnął za drzwi, a potem pokuśtykał korytarzem w stronę głównego wyjścia z pałacu.

Na zewnątrz czekał jego rydwan. Dawno temu Hefajstos zbudował go dla Heliosa, wiedziony troską o tysiące rumaków, które bóg Słońce zajeżdżał każdego roku podczas swych podróży przez nieboskłon. Obdarowany nie ucieszył się jednak z prezentu. Przeciwnie nawet, uznał, że lewitujący kosz, który zamiast rumaków miał zaprzężone dwie beczki zdobione złotem i spięte wiązką błyskawic, w pewien sposób uwłacza jego boskiej godności. Tłumaczenie, że w beczkach tkwią jakieś tajemnicze turbiny, a koła i tak były zbędne w przypadku pojazdu, który wyłącznie latał, zamiast pomóc, tylko podsyciło kłótnię. Ostatecznie Hefajstos zatrzymał więc rydwan dla siebie.

Podszedł teraz do jednej z beczek i poklepał ją z czułością, a następnie wskoczył do powozu i złapał za lejce. Trzasnęło wyładowanie, beczki zaszumiały i zawyły, a potem pojazd ruszył w stronę bramy, która jak na zawołanie zaczęła się otwierać. Boski kowal schylił głowę, zmrużył oczy i szarpnął za lejce. Chwilę później był już w Olimpii.

Krassos przerwał opowieść i spojrzał w niebo.

– Czekaj nas jeszcze spory kawałek w dół, Herostratesie, więc chodź, dokończ historię po drodze. Zdaje mi się, czy zrobiło się chłodniej?

– Całkiem możliwe, chyba idzie burza.

Marek Mateusz usiadł, przeciągnął się, a potem wstał sprawnie i podniósł spod drzewa płócienną torbę z linami, hakami i resztą narzędzi, które obaj uznali za niezbędne. Przewiesił ją przez ramię.

– Możemy iść, jestem gotowy.

Krassos również podniósł się z ziemi i otrzepał ubranie z pyłu.

– Zatem chodźmy.

Ruszyli wąską ścieżką w dół wzgórza.

– Fidiasz był wtedy właśnie tu, w Olimpii. – Krassos podjął przerwany wątek. – Pracował nad posągami Gromowładnego, zdobiąc go złotem i kosztownościami, nie skąpiąc też kości słoniowej ani...

Przystanął. Przyłożywszy rękę do czoła, spojrzał w stronę świętego gaju.

– Czy mi się wydaje, czy tam się coś dzieje?

Marek Mateusz machnął ręką.

– Pewnie gra światła – stwierdził. – No, opowiadaj dalej, co z tym Fidiaszem.

– Naprawdę wydawało mi się...

Krassos stał jeszcze przez chwilę, wpatrując się w budynki i dróżki Altis, ale wreszcie wzruszył ramionami i podążył ścieżką za ukochanym. Wzdrygnął się, gdy spadła na niego pierwsza kropla deszczu.

– Nikt właściwie nie wiedział – podjął raz jeszcze opowieść – dlaczego pierwszy pośród rzeźbiarzy postanowił postawić posąg Ojca Wszechrzeczy w środku gaju ani skąd miał na niego tak wielkie pieniądze, ale ponieważ Fidiasz wsławił się już niejedną pracą, ludzie nie zadawali zbyt wielu pytań. Być może byliby bardziej ciekawscy, gdyby mogli dostrzec zlatujący z nieba rydwan bez rumaków oraz powożącego nim pokrytego sadzą boga, ale Hefajstos potrafił uczynić siebie i swój pojazd niewidzialnym dla postronnych widzów. Czasem więc tylko ktoś się dziwił, że Fidiasz mówi sam do siebie, ale geniusze tak podobno mają.

Tym razem opowieść została przerwana przez błyskawicę. Zaraz potem rozległ się ogłuszający huk gromu, na którego dźwięk Marek Mateusz aż wtulił głowę w ramiona.

– To chyba znak! – zawołał głośniejszym, niż było potrzeba. – Bóg nie chce, żebyśmy tam szli, nie chce, żebyśmy...

Kolejna błyskawica przecięła niebo i na ich oczach uderzyła w świątynię Zeusa. Srebrzyste zygzaki rozpełzły się po budynku, oplótły kolumny, poraziły stojących na straży żołnierzy. Zaraz potem nadszedł grom, a z nim zatrzęsa się ziemia. Obaj mężczyźni skoczyli w stronę najbliższych drzew oliwnych i przykucnęli za nimi.

Wtedy właśnie, z łoskotem jeszcze głośniejszym niż wciąż jeszcze brmiący im w uszach huk, świątynia Zeusa runęła, a spomiędzy gruzów i płomieni wyłonił się niebosiężny Gromowładny. Już nie posąg tkwiący w bezruchu na ozdobnym tronie – teraz była to

przerazająco majestatyczna istota o lśniących czerwieni oczach i twarzy wykrzywionej w gniewnym grymasie. Po ciele ożywionego Boga tam i z powrotem pędziły wiązki błyskawic.

– O Chrystusie Nazarejski! – zawołał Marek Mateusz, próbując przekrzyczeć łoskot. – To, to...

– To puenta mojej historii – szepnął wyraźnie niepocieszony Krassos.

A potem zemdlął.